



MAJER

GÓRY W CIENIU ŻYCIA

SON
10 LAT WAZEM
SIĘ GUYAŁOM

JANUSZ

DARIUSZ JARON, JANUSZ MAJER



MAJER

GÓRY W CIENIU ŻYCIA

JANUSZ



MAJER

GÓRY W CIENIU ŻYCIA

JANUSZ

DARIUSZ JAROŃ, JANUSZ MAJER

KRAKÓW 2020

Janusz Majer. Góry w cieniu życia

Copyright © by Janusz Majer 2020

Copyright © by Dariusz Jaroń 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski, Beata Słama
Korekta – Aneta Wieczorek, Agnieszka Zygmunt
Projekt typograficzny i skład – Natalia Patorska, Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografia na I stronie okładki – Walek Fiut
Fotografia na IV stronie okładki – Jacek Wiltosiński

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788381296045



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagątek, Tomasz Czernich, Lucyna Byrdy

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl



PROLOG

Baza pod Everestem, 27 maja 1989 roku. Czekamy na powrót kolegów.

Przed trzema dniami Gienek Chrobak i Andrzej Marciniak weszli na szczyt zachodnią granią. Szykujemy wielką fetę. Okazja do świętowania jest podwójna. Pierwszego czerwca Gienek kończy pięćdziesiąt lat. Z sielankowego nastroju wyrywa nas sygnał radiotelefonu. A właściwie nie tyle sam sygnał, ile przygnębiający komunikat i głos roztrzęsionego kolegi.

Ścianą Khumbutse zeszła lawina.

Kilkadziesiąt godzin wcześniej na prośbę Gienka posłałem z bazy na przełęcz Zygę Heinricha i Wacka Otrębę. Mieli pomóc chłopakom w zniesieniu sprzętu z likwidowanych obozów. Do jedyńki na przełęcz Lho zmierzali też Falco Dąsał i Mirek Gardzielewski. Atakowali szczyt wcześniej, lecz bez powodzenia.

Warunki do zejścia mieli kiepskie. Sypał śnieg, silny wiatr mიაł nimi na poręczówkach. Szli ostrożnie, uważając na lawiny, momentami brodząc po pas w śniegu.

W piątek 26 maja całą szóstką spotkali się na przełęczu. Od bazy dzielił ich już tylko marsz przez śniegi przełęczu Lho i wspinaczka

na grań Khumbutse. Formalność. Przechodzili tę drogę wielokrotnie...

Po kilku godzinach snu zebrali się do drogi.

W nocy pogoda jeszcze się pogorszyła. Ciągłe przybywało ciężkiego, męczącego śniegu. W takich warunkach błyskawicznie można opaść z sił, a wędrówka dłuży się w nieskończoność. Gdy dotarli pod ścianę Khumbutse, dochodziło południe.

Pierwszy w poręczówkę wpiął się Gienek, a za nim gęsiego podążyli Andrzej Marciniak, Falco Dąsał, Mirek Gardzielewski, Wacek Otręba i Zyga Heinrich. Mozolnie pięli się w górę. Każdy torował krótki, dziesięciometrowy odcinek, a potem, dysząc ze zmęczenia, oddawał prowadzenie koledze. Po Wacku Otrębie przyszła pora na Gardziela.

Andrzej Marciniak zapamiętał*, że nagle śnieg uniósł się pod jego stopami, tworząc falę, która błyskawicznie porwała wszystko, co znalazło się na jej drodze.

„Pomyślałem: no to już koniec. Lawina.

Ocknąłem się na dole u podstawy ściany. Starąłem się zorientować, kto gdzie leży zasypany w śniegu i ujrzałem z tyłu Gienka i Falca, który był lekko uniesiony na linie. Wyplułem kilka zębów. Krwawiłem. Bolała mnie szczeka. Wszyscy trzej byliśmy na powierzchni śniegu. Nie widziałem pozostałych. Z lawiną przelecieliśmy 200–300 metrów. Zobaczyłem ruszającą się rękę. Chciałem do niej dotrzeć, ale nie mogłem ustać na nogach.

Mogłem tylko zsuwać się po śniegu.”

* Wypowiedzi Andrzeja Marciniaka pochodzą z książki *Każdemu jego Everest* Mirosława „Falco” Dąsala (Kraków 1996).

Bilans lawiny był katastrofalny.

Mirek Dąsal, Wacek Otręba, Zyga Heinrich i Mirek Gardzielewski zginęli.

Gienek Chrobak miał złamaną nogę, nie mógł się ruszać.

„Zostałem tylko z Gienkiem. On wyciągnął z plecaka śpiwór, którym chciał się okryć. Zrobiłem w śniegu platformę. Wyciągnąłem karimatę i pomogłem ułożyć mu się na niej. Usztyniłem mu nogę, bo mówił, że ma złamaną, sam zaś położyłem się poniżej.

I tak trwaliśmy do nocy, aż zesza kolejna lawina, która ponownie nas przysypała. Ale niegroźnie. Odkopaliśmy się. Dłużej jednak nie można było w tym miejscu pozostać, bo w każdej chwili bylibyśmy narażeni na kolejne niebezpieczeństwo ze strony spadających lawin. Był środek nocy. Zacząłem przeciągać Gienka. On krzyczał, bo noga bolała go piekielnie i w ogóle cały był obolały – tłumaczyłem mu, że musimy zejść 50 metrów niżej, jeśli chcemy się uratować. Zrobiłem kolejną platformę, znalazłem drugi śpiwór, którym okryłem Gienka, a sam położyłem się poniżej.

Rankiem połączyłem się z bazą. Złożyłem meldunek. Lekarz spytał o Gienka. Powiedziałem, aby poczekał; że zapytam go. Gdy podszedłem, okazało się, że tak jak go ułożyłem w nocy do snu, tak pozostał na zawsze.

Zrozumiałem, że na tej białej pustyni pozostałem sam...”

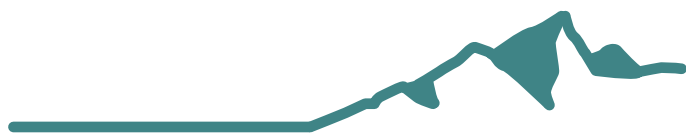
Byłem zdruzgotany, musiałem jednak myśleć trzeźwo.

Mogłem zrobić tylko jedno: dodać Andrzejowi Marciniakowi otuchy przez radiotelefon. Powiedzieliśmy mu, żeby poszedł do namiotu i tam zaczekał na ratunek. Zadanie było karkołomne. W lawinie zgubił okulary, tracił wzrok, a do pokonania – po

omacku – miał całą rozległą przełęcz Lho. Brnął w śniegu i się modlił.

My tymczasem naprędce zorganizowaliśmy akcję ratunkową. Peter Athans, Carlos Carsolio, Nick Cienski i Alan Burgess na próżno próbowali wbić się w ścianę Khumbutse. Ryzyko zejścia kolejnych lawin było ogromne. O wejściu na grań i zejściu na przełęcz nie było mowy. Byliśmy odcięci od ślepnącego po drugiej stronie Khumbutse przyjaciela.

Nadzieją na ratunek był Artur Hajzer, o ile udałoby się odnaleźć go w Katmandu...



TYTUŁEM WSTĘPU

Śmierć przyjaciela zawsze jest trudna. Bez względu na okoliczności. W górach zostało wiele bliskich mi osób, jednak nie personalizuję himalajskich wierzchołków, to wciąż tylko przyroda, nie mogę się na nią obrazić.

Człowiek nigdy nie zakłada, że w górach umrze. Chociaż czasem śmierci na wyprawach jest za dużo. Wtedy trzeba na jakiś czas odpuścić sobie góry. Po lawinie na Khumbutse miałem dość. Artur Hajzer również. Powiedzieliśmy zgodnie Jurkowi Kukuczce, że nie pojedziemy z nim jesienią na południową ścianę Lhotse.

Potrzebowałem przerwy, lecz potrzeba bliskości gór była silniejsza.

Przypominam sobie lato 1986 roku pod K2. Co kilka dni ktoś ginął, a reszta otrząsała się z szoku, by nadal się wspinać. Ja również. Do tej pory nie potrafię tego racjonalnie wytłumaczyć. Lionel Terray pisał o „niepotrzebnych zwycięstwach”. Reinhold Messner powołał się na te słowa, wspominając Artura Hajzera. Emocji i motywacji kryjących się za wyprawą nie sposób wyjaśnić komuś, kto nigdy ich nie poczuł.

Zdaję sobie sprawę, że potrzeba odkrywania świata, tak silna u jednego człowieka, u drugiego może budzić odmienne emocje i pytania o sens zapuszczania się hen wysoko, w nieznanne. Jestem

świadomy takiego nastawienia niektórych osób, lecz zdecydowanie się z nim nie zgadzam.

Góry od zarania dziejów miały dla gatunku ludzkiego szczególne znaczenie. Najstarsze religie zakładały, że właśnie tam kryją się siedziby bogów. Starotestamentowy Jahwe, nasz Bóg Ojciec, przekazał Mojżeszowi tablice z 10 przykazaniem na górze Synaj, a na Morii – wzgórzu świątynnym w Jerozolimie, będącym po dziś dzień jednym z najważniejszych świątych miejsc judaizmu i islamu – wymagał od Abrahama, by złożył w ofierze syna. Mnóstwo świątych gór czczą wyznawcy hinduizmu i buddyzmu, pielgrzymując tłumnie do ich podnóży, okrążając je podczas rytuałów.

Góry to też ważna część naszego dziedzictwa kulturowego. Inspirowana nimi sztuka to coś więcej niż folklor. Nie mówię nawet o krajach alpejskich, gdzie górskich odniesień w muzyce, literaturze czy malarstwie jest multum, lecz o leżącej na nizinach Polsce. Zakopane w swych początkach było mekką ludzi kultury. Dzięki Tatrom mamy twórczość Karola Szymanowskiego, Wojciecha Kilara, Stanisława Ignacego Witkiewicza – żeby wspomnieć tylko kilku z wielkich. Podważanie sensu eksplorowania gór uważam za wyraz lekceważącego podejścia do kultury człowieka.

Stwórca nie tylko rozsiadł się na wysokościach, wyposażył nas również w potrzebę odkrywania świata. Eksplorowania tego, co nieznanego. Ta wewnętrzna siła, niezrozumiała dla milionów pasja, napędzała do działania Krzysztofa Kolumba, Ferdynanda Magellana, Roalda Amundsena czy George'a Mallory'ego. Mount Everest 100 lat temu był jednym z największych wyzwań ludzkości, dziś wyobraźnię wielu himalaistów w podobny sposób rozpala zimowe K2, a wcześniej pobudzało ją zdobycie zimą Góry Gór, co w lutym 1980 roku udało się Krzyśkowi Wielickiemu i Leszkowi Cichemu.

Krzyś opowiadał anegdotę, jak to na górze Kala Pattar spotkał wybitnego brytyjskiego wspinacza Chrisa Boningtona. Spoglądali z wierzchołka na bazę pod Everestem, gdzie, jak to od kilku dobrych lat bywa, w szczycie sezonu stanęło kilkadziesiąt namiotów wspinaczy z całego świata.

Wywiązała się rozmowa.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku stała tu tylko baza mojej wyprawy – zaczął Bonington.

– Zimą tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego też byliśmy tutaj sami – odparł na to Krzysztof.

– Trzeba urodzić się we właściwym czasie – skwitował Brytyjczyk.

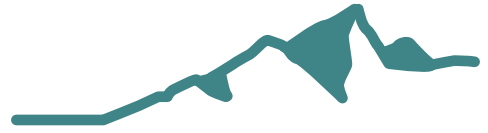
Nie zgadzam się z tym. Każdy wspinacz rodzi się we właściwym czasie. W górach wciąż jest tyle miejsc do odkrycia – są doliny, gdzie nie było dotąd choćby jednego turysty czy alpinisty. Zgoda, nie ma już dziewiczych ośmiotysięczników, lecz niższe szczyty i piękne ściany wciąż czekają na zdobywców. Nie ma potrzeby tłoczyć się pod ośmiotysięcznikami, w górach Azji jest mnóstwo nieodwiedzanych rejonów, gdzie można poczuć się jak prawdziwy odkrywca.

To, co było główną motywacją pionierów alpinizmu, pozostaje aktualne. Jak dostać się na wierzchołek? Co kryje się za tym lodowcem? Człowiek zmierzył i przeszedł świat wzdłuż i wszerz, lecz odkrywanie nieznanego w dalszym ciągu jest możliwe.

Ta książka to podróż po mojej wysokogórskiej drodze. To wyraz wciąż niewygasłej dziecięcej potrzeby poznawania nieznanego i nienazwanego. To wędrówka w góry Hindukuszu, Karakorum i Himalajów, to wyprawy na Spitsbergen i Antarktydę, to podążanie za historią wielkich odkrywców, którzy jako pierwsi ruszyli w nieznanne, i ich godnych następców, do dziś wypełniających ostatnie białe plamy na mapie globu.

To wreszcie opowieść o przyjaźniach, również tych trudnych, utraconych, bo wiele bliskich mi osób zostało w górach na zawsze. Ale i o tym, co dobre: przeżyciach, wspomnieniach, zabawie. I tym, co dały mi góry. Bo góry niczego nie zabierają.

Zapraszam Was do wspólnego odkrywania świata.



POCZĄTEK

Każda podróż musi się gdzieś zacząć.

Tę rozpoczynamy w Górkach Wielkich, niewielkiej wsi położonej malowniczo w Beskidzie Śląskim. Blisko stamtąd do Brennej, Ustronia, Szczyrku, Skoczowa, sąsiadów bardziej znanych z turystyki. Blisko też na Błatnią, Skrzyczne czy Klimczok. Kontakt z naturą i oddech od miejskiej codzienności przyciągnął w tamte strony niejedną rodzinę. Tak jak Janusza i Zosię. Jeździli tam na spacer. Zostali na lata. Mieszkają na uboczu, w piętrowym domu.

Sercem wielu polskich mieszkań jest kuchnia. Na co dzień gromadzi przy stole domowników, od czasu do czasu pulsuje rytmem towarzyskiego życia, kusi aromatami i bogactwem smakotyków skrywających się w zakamarkach spiżarni, przywołuje na myśl smaki dzieciństwa, wspomnienia i obrazy sprzed lat.

I chociaż Janusz gotuje smacznie i nie sposób wyjść z domu państwa Majerów głodnym, sercem ich domu nie jest kuchnia, lecz biblioteka. Właściwie jedna z dwóch bibliotek. Ta główna mieści się na parterze, druga, mniejsza, w gabinecie na piętrze.

Dwie ściany od podłogi aż po sufit zabudowano regałami, które szczelnie wypełniają setki książek. Gdyby nie przesuwne drzwi i duże okno, przez które wpadają właśnie do środka promienie jesiennego słońca, półki na kolejne tytuły zajęłyby również pozostałe ściany pokoju.

Gospodarz poradził sobie z tym niedoborem, ustawiając w bibliotece stół, będący raczej przedłużeniem regałów niż miejscem, przy którym można usiąść. Pełno na nim książek, map, pocztówek i górskich magazynów. Podobnie rzecz ma się z biurkiem, gdzie jedyne wolne miejsce wydzielono na laptop. Szukamy skrawka przestrzeni na filiżanki mocnej czarnej kawy. Rozmawiamy, wertując kolejne książki, zaglądając do albumów lub nowatorskich opracowań, które Janusz przygotowuje wraz z Jerzym Walą. Każda pozycja w bibliotece kryje w sobie historię, anegdotę. Sięgamy po stare listy, zdjęcia, odciskamy paluchy na wysłużonych mapach, kreśląc na nowo trasy dawnych podróży. Okazja do wspomnień nadarza się szczególnie. Kiedy czytacie te słowa, mija 45 lat od pierwszej wyprawy Janusza w góry wysokie.

A wszystko zaczęło się tak...

ODKRYWANIE TATR

Mam trójkę rodzeństwa – brata i dwie siostry. Jestem z tego towarzystwa najstarszy. Nigdy nie jeździliśmy na wycieczki w Tatry, ale chodziliśmy turystycznie po górach, głównie po Beskidzie Śląskim i Żywieckim. Byliśmy raz na Babiej Górze, ja i brat mamy świetne zdjęcie zrobione na szczycie Śnieżki.

Ale to nie góry, lecz piłka ręczna była moją pierwszą miłością. Grałem w szczypiorniaka w szkole podstawowej i średniej w międzyszkolnym klubie sportowym w Siemianowicach Śląskich. Nic nie zapowiadało, że zmienię pasję. Wystarczył jednak obóz sportowy w Zakopanem i pierwsza wycieczka w Tatry. Któregoś dnia wybraliśmy się do Doliny Pięciu Stawów i Dolinki Pustej. Odpoczywając po trudach wędrówki, po raz pierwszy zobaczyłem taterników w akcji: wspinali się na południowej ścianie Zamarłej Turni. Stałem jak zahipnotyzowany, wsłuchując się w dzwonienie szpeju, podziwiając opanowanie i maestrię ich ruchów. Zapragnąłem w duchu być taki jak oni i na poważnie zainteresowałem się wspinaczką.

W tamtych latach dość często jeździłem do Krakowa. W siedzibie Klubu Wysokogórskiego wisiała gablotka, w której zamieszczano

Z bratem na Śnieżce. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, fotografie pochodzą z prywatnego archiwum autora





Na obozie w Dolinie Pięciu Stawów.
Janusz Majer trzeci z lewej



W Dolince Pustej, obserwujemy
taterników na Zamarłej Turni

zdjęcia członków klubu i informacje o tym, co robią w górach. Chłonałem, co tylko się dało, a gdy skończyłem 17 lat, zdobyłem wymaganą zgodę rodziców i zapisałem się w Klubie Wysokogórskim w Katowicach na kurs wspinaczkowy odbywający się w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Wtedy to było właściwie Koło Katowickie Klubu Wysokogórskiego, ponieważ Polski Związek Alpinizmu powstał 10 lat później. Był rok 1964. Sezon wcześniej kurs ukończył Jasiu Kiełkowski, który już wtedy zapowiadał się na doskonałego wspinacza.

Moim głównym instruktorem był słynny Druciarz, czyli Jerzy Rudziński. Radą i doświadczeniem służyli inni giganci taternictwa tamtych lat, tacy jak Adam Zyzak i Jan Junger.

Pamiętam, że gdy pierwszy raz pojechałem wspinać się w Tatry, zacząłem od Lewych Wrześniaków na Zamarłej Turni. Nie dość, że spełniłem marzenie sprzed kilku lat, to jeszcze na górze, na której jako niedoszły piłkarz ręczny po raz pierwszy widziałem taterników. Potem wspinałem się z Jurkiem Badurą, miał o rok dłuższy staż, ukończył kurs z Jasiem Kiełkowskim, byli partnerami. Wziął mnie pod swoje skrzydła. Razem robiliśmy Drogę Motyki na zachodniej ścianie Kozich Czub czy Drogę Stanisławskiego na zachodniej Kościelca.

Dzięki zebranemu doświadczeniu w kolejnym sezonie mogłem wspinać się samodzielnie. Teraz to ja byłem mentorem dla kursanta, którego nazwiska niestety nie pamiętam. Pracował w Hucie Szkła w Siemianowicach, niedaleko mojego domu. Miał motocykl, więc jeździliśmy nim w góry. Przeszliśmy razem kilka dróg, między innymi Tomkowe Igły na zachodniej ścianie Niżnich Rysów, pojechalśmy też w słowackie Tatry do Doliny Kieżmarskiej. Nie było pogody. Udało nam się zrobić tylko jedną czwórkową drogę na Jastrzębiej Turni.

W tamtym sezonie rzadko bywałem w Tatrach, ponieważ brakowało mi pieniędzy. Rok później jednak odbiłem to sobie z nawiązką. Wspinałem się głównie z Robertem Niklasem z Klubu Wysokogórskiego w Gliwicach. Miał ogromny talent i niesamowite wyczucie gór. Pewnego dnia wracaliśmy z południowej ściany Wołowej Turni. Paskudna mgła, właściwie mleko, a my mieliśmy do przejścia całą grań aż do Chłopka. Widoczność żadna, mam wrażenie, że gdybym był sam, tobym się zgubił i potrzebował pomocy. Na szczęście Robert szedł pewnie, spokojnie i wynajdywał drogę bez większego wysiłku.



Pierwsza droga w Tatrach,
Zamała Turnia, Lewi Wrześniacy

Mój namiot
w Dolinie Kieżmarskiej



BRATERSTWO LINY

Wspinałem się też w skałkach, zarówno latem, jak i zimą, ze wspomnianym już kolegą klubowym Jasiem Kiełkowskim.

W kolejnych latach miał się stać wybitnym taternikiem. Ćwiczył hakówkę przed wspinaczką na Kazalnicy, a ja go asekurowałem. Zimą jeździliśmy do Doliny Będkowskiej pod Krakowem i spaliśmy w gościnnym domu państwa Brandysów. O tej porze roku było tam zupełnie pusto, tylko ja i Jaś. No, nie do końca. Pogryzły nas pchły.

W Tatrach poszliśmy kiedyś na Grań Apostołów. Z jednego z Apostołów należy zjechać, założyliśmy więc zjazd ze skalnego dziobka o nieco fallicznym kształcie. Zjechałem pierwszy. „Zobacz, czy lina schodzi!” – krzyknął Jasiu z góry.

Zeszła, spadając mi na ręce. Na żywca nie dało się bezpiecznie przejść, trzeba było Jasiowi dorzucić linę. Wszedłem więc na sąsiedniego Apostoła i, gotowy do rzutu, próbowałem uspokoić partnera: „Nic się nie martw. Trenowałem piłkę ręczną, mam wyrobione ramiona. Dorzucę!”.



Nie dorzuciłem. Próbowałem kilka razy, w końcu lina doleciała do niewielkiej grani poniżej miejsca, w którym utknął Kiełek. Zamocował na pętli zakrzywionego simonda i zaczął łowić linę. Chwilę to trwało, jednak wszystko skończyło się dobrze. Zjechał, lecz straciliśmy sporo czasu i trzeba było rozejrzeć się za biwakiem. Przeczekaliśmy nockę w kosówce,

Z Jasiem Kiełkowskim w skałkach

rozpaliliśmy nawet małe ognisko, żeby się ogrzać, a następnego dnia zeszliśmy do obozowiska. Żeby odreagować, poszliśmy na Drogę Robakiewicza na Mnichu, na wszelki wypadek bez liny.

GRZYBOBRANIE NAD MORSKIM OKIEM

Lato 1966 roku rozpocząłem od wspinania z Druciarzem.

Pewnego razu z Katowic w Tatry dotarliśmy dość późno, więc Druciarz z typowym dla siebie humorem stwierdził, że jesteśmy wspinaczami drugorzędowymi. Zrobiliśmy wtedy Komin Świerza na zachodniej ścianie Kościelca, a potem pojechaliśmy nad Morskie Oko.

Druciarz zamierzał pójść na lewą Kazalnicę, jednak nie było pogody. Lało jak jasna cholera i za nic nie chciało przestać. Aura nie służyła wspinaczom, dobrze natomiast robiła grzybom, zbieraliśmy je więc w Tatrzańskim Parku Narodowym, a ja z rosnącym zdumieniem i przerażeniem poznawałem nowe – przynajmniej dla mnie – gatunki jadalne. Druciarz zbierał wszystko, co mu wypadło w ręce. Albo doskonale znał się na grzybach, albo miał wyjątkowe szczęście, bo każdy, jakiego znalazł, nie tylko smakował, lecz także nie szkodził.

Po raz pierwszy w życiu miałem namiot rozstawiony na taborisku. Po skończonej drodze, albo gdy warunki nie pozwalały na wspinaczkę, kwitło życie towarzyskie. Pamiętam, jak Druciarz zabawił w schronisku w towarzystwie taterniczek z Łodzi. Była wśród nich Krysia Konopka. Impreza trwała w najlepsze, wreszcie zmęczony trudami dnia poszedłem do namiotu. Kiedy wstałem rano, zorientowałem się, że Druciarza wciąż nie ma.

Wyszedłem przed namiot... spał tuż obok na glebie. Trąciłem go delikatnie.

- Jurek!
- Nooo? – odpowiedział zaspany.
- Dlaczego nie wlałeś do namiotu?

– Oj, i tak dobrze, że tutaj dotarłem!

Przypomniało mi się wtedy, jak Druciarz dbał o swój motor, jawę, w środowisku równie słynną jak jej właściciel. Kiedy przyjeżdżał nią w skałki, zawsze zabierał specjalną folię. Gdy tylko na niebie pojawiały się ciemniejsze chmury, wyjmował ją, by wraz z pierwszymi kroplami okryć szczelnie motocykl. Wieczorem, przy wciąż padającym deszczu, kładł się na ziemi obok maszyny i zasypiał, nie przejmując się specjalnie otoczeniem i ryzykiem przeziębienia. Najważniejsze, że ukochany motor był bezpieczny.

Tamtego lata długo zabawiłem nad Morskim Okiem. Po Druciarzu mieszkał u mnie w namiocie Zbyszek Kursa. Wtedy był na początku swojej górskiej drogi. Nieco później zbliżył się do środowiska Kaskaderów, doskonałych wspinaczy krakowskich. Był trochę młodszy od nich, należał do „grupy Migockiego”. Kaskaderzy pojawili się pod koniec lat 60., wywodzili się ze skałek podkrakowskich, znakomicie wspinali się również w Tatrach. Ich duchowym przywódcą był Rysiek Malczyk, bardzo dobry wspinacz, który niestety zginął tragicznie.

O ile mnie pamięć nie myli, przyjechał na chwilę, korzystając z przepustki z wojska. Zrobiliśmy razem Drogę Orłowskiego na północnej ścianie Żabiego Wyżniego. Działaliśmy w dwóch zespołach. Byli z nami jeszcze Robert Niklas z Iką Krakowską, taterniczką z Warszawy. Później, już bez Iki, poszliśmy z Robertem na Filar Puśkaśa na południowej ścianie Wołowej Turni.

Skład towarzystwa w Morskim Oku wciąż się zmieniał. Jedni znajomi wyjeżdżali, a pojawiali się kolejni. Kiedy Zbyszek Kursa wrócił do wojska, dołączył do nas Wujo, czyli Krzysiek Dworakowski. We trzech zrobiliśmy nową drogę, bardzo ładną, szóstkową, na północnej grani Rysów. Szliśmy środkiem turni zwanej Innominatą, przez cały czas prowadził Robert Niklas. Z przejść wartych odnotowania wymienię jeszcze słynnego „Grzybka” na

północnej ścianie Pośredniego Mięgusza. Wspinaliśmy się wtedy we czterech. Był z nami jeszcze Zygmunt Kieńc z Wrocławia, a Robert znów przełoił drogę na pierwszego.

Zrobiłem z nim wtedy „Wariant R” na wschodniej ścianie Mniha. Robert nigdy nie haczył, więc zarówno na płycie, jak i w okapach prowadziłem ja, a gdy dotarł do mnie na krawędzi okapu, pociągnął drogę do końca. Skończyliśmy w miarę dobrym czasie.

Dodam jeszcze, że Robert po centralnym wyjeździe Polskiego Związku Alpinizmu w Alpy – wspinał się wtedy z Januszem Kurczabem – został na Zachodzie. Zamieszkał w zachodnich Niemczech. W 1979 roku, jako członek wyprawy gliwickiej, wszedł na Lhotse bez tlenu. Spotkaliśmy się po latach nad Morskim Okiem na uroczystości z okazji pięćdziesięciolecia Klubu Wysokogórskiego w Katowicach i wspominaliśmy dobre tatrzańskie czasy...

Na koniec sezonu poszedłem jeszcze z Zygmuntem Kieńciem i jego partnerką na Drogę Świerza na wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu Wielkiego. Prowadziłem końcowe wyciągi, ale szliśmy już właściwie z lotną.

To był dobry czas. Z dzisiejszej perspektywy powiedziałbym, że pełen beztrudny. Nie miałem przecież pieniędzy, by spędzić nad Morskim Okiem kilka miesięcy, jednak to nie stanowiło wówczas problemu. Godziny praktyki sprawiły, że ja i Robert staliśmy się mistrzami w wyławianiu monet ze stawu za pomocą długich kijów, na których końcu przywiązywaliśmy łyżkę. Tak uzbrojeni chodziliśmy nad Morskie Oko i z precyzją godną chirurgów wybieraliśmy znajdujący się przy brzegu bilon. Kiedy uskładaliśmy garść drobniaków, które starczały na dwie porcje ziemniaczków, maszerowaliśmy do schroniska. Należało koniecznie zamówić dwie oddzielne porcje, bo gdy poprosiło się o podwójną, panie kucharki łądowały na talerz mniej.

Tak – na ziemniaczanej diecie i wspinaniu – dotrwałem w Tatrach do października 1966 roku. Był to na dobrą sprawę pierwszy i zarazem ostatni tak intensywny sezon mojej taternickiej działalności. Potem trafiały mi się tylko epizody, jak na przykład zimowe przejście – wtedy sezon zimowy trwał do końca kwietnia – Drogi Dziędziewicza na zachodniej Kościelca z Edkiem Wyką i Robertem Niklasem czy z Jankiem Bagsikiem Droga Świerza na Mięszowieckim Szczycie Pośrednim, czy „Klasyczna” na Zamarłej z Gerardem Janotą.

W 1967 roku wziąłem ślub z Zosią. Poznaliśmy się na studiach. Była starościnaą jednej grupy, a ja drugiej. Zainteresowała się, kim jestem, gdy profesor na wykładzie z fizyki wezwał do siebie starostów, a mnie akurat nie było na sali. Później szukała kogoś, kto pomógłby jej w matematyce, i koledzy i koleżanki z mojej grupy zgodnie odpowiedzieli: „Najlepszy jest Majer!”. Od tych korepetycji się zaczęło. Podczas drugiego semestru mieliśmy praktyki w Hucie Lenina i tam nasz związek zaczął rozkwitać. Zosia się nie wspiniała, chociaż lubiła bardzo górskie wędrowki. Raz zabrałem ją w skałki, ale gdy podczas zjazdu, miała głowę niżej niż nogi – na szczęście przy górnej asekuracji – zrezygnowaliśmy z dalszej nauki. Później, będąc w ciąży, nabawiła się lęku wysokości.

Potem urodził się Krzyś. I tyle było mojej kariery taternickiej, przynajmniej na jakiś czas. Po narodzinach syna zająłem się rodziną, w 1971 roku skończyłem studia na wydziale metalurgicznym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, próbowałem zrobić doktorat. Zamieszkaliśmy w Katowicach, ponieważ przyznano nam stypendium ufundowane przez tamtejsze Hutnicze Przedsiębiorstwo Remontowe. Dostaliśmy mieszkanie jeszcze przed rozpoczęciem pracy – 38 metrów kwadratowych na 22. piętrze. W tym małym lokalu odbyło się później niejedno spotkanie środowiska górskiego.



Tatry, lata 70. Janusz Majer i Jerzy Dudała. Fot. Jacek Wiltosiński

Wtedy jednak przestałem jeździć w Tatry. Było mi żal, tęskniłem za górami, jednak codzienne obowiązki wzięły górę. Przystałem też przychodzić na spotkania klubowe w Katowicach. Na pierwszym planie znalazła się proza życia, nie miałem już czasu na wspinanie.

SPOTKANIE POD OKAPEM

Latem 1974 roku pojechałem z Zosią i sześciolatkiem Krzysiem w słowackie Tatry.

Granicę przekroczyliśmy na Łysej Polanie. Pierwszą noc spędziliśmy pod kamieniem w Kaczej Dolinie. Mielśmy spiwory i jakieś

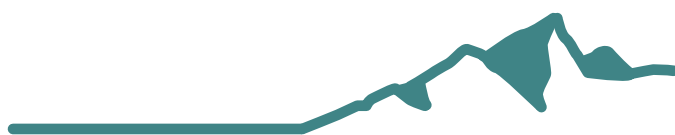
dmuchane materace, a aura okazała się łaskawa. Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Przeszliśmy przez Polski Grzebień i w Dolinie Wielickiej urządziliśmy bazę. Zatrzymaliśmy się w kolebie przy Wielickim Stawie, tuż obok ścieżki.

To były inne czasy – parkowcy nie ścigali za bardzo za spanie w kolebach, a jednocześnie było bezpiecznie. Zostawiało się w takim miejscu jedzenie, spiwory, maszynkę do gotowania i nic nie ginęło.

Podczas jednej z takich eskapad złapała nas potworna burza, schroniliśmy się więc pod wielką wantą w Dolinie Kieżmarskiej. Lało tak, że nie sposób było nosa wystawić za okap. Szybko się zorientowaliśmy, że nie jesteśmy sami. W to samo miejsce przed grzmotami zwiłało trzech wspinaczy z Katowic: Janek Łosoń, Jacek Wiltosiński i Jurek Dudała. Należeli do Klubu Wysokogórskiego i Akademickiego Klubu Alpinistycznego.

Szybko znaleźliśmy wspólny język, wymieniając się taternickimi doświadczeniami. Zasugerowali, żebym przyszedł na kolejne spotkanie klubu. Przyjąłem tę propozycję z ulgą. Tęsknota za górami i przyjaciółmi miała wkrótce zniknąć, a ja znów mogłem chodzić na nasze klubowe nasiadówki. Wkrótce miały one zaowocować moimi pierwszymi zagranicznymi eskapadami.





ODKRYWANIE ALP

Ludzie z mojego rocznika i starsi doskonale pamiętają czasy, kiedy turysta wyjeżdżający z Polski Ludowej na wczasy za granicę mógł zabrać dosłownie kilka dolarów. Na więcej władze nie pozwalały, bo dewizy nie były od tego, żeby obywatele szastali nimi na obczyźnie. Jeździło się więc z garstką zielonych w kieszeni, dorabiało na lewo, obchodziło się smakiem na widok... właściwie wszystkiego.

W połowie lat 70. ubiegłego stulecia coś się zmieniło. Ekipa Edwarda Gierka poluzowała rygory i przed wyjazdem można było sobie kupić 100 dolarów. Niby wciąż niewiele, lecz dla nas była to rewolucja. Dzięki tym pieniądzom katowicki Akademicki Klub Alpinistyczny (właściwie przenikaliśmy się, większość wspinaczy tamtego okresu należała do KW i AKA) zorganizował wyjazd w Alpy.

TAJNIKI HODOWLI SZYNSZYLI

Takich okazji się nie przepuszcza.

Spakowałem toboły i wraz z Jurkiem Dudałą i Bogdanem Szymańskim pojechałem pod Mont Blanc od południa, od strony Courmayeur. Biwakowaliśmy na kempingu w Dolinie Aosty. Pogoda była niespecjalna, więc ja i Jurek weszliśmy na szczyt szlakiem

turystycznym. Zamiast jednak schodzić na włoską stronę, postanowiliśmy odwiedzić Francję i zahaczyć o Chamonix. Po zejściu z góry dotarliśmy na słynne nielegalne obozowisko polskich wspinaczy.

Ugościli nas w swoim namiocie Zbyszek „Krowa” Terlikowski i Heniek „Długi” Szymik. Razem przyjechali do Chamonix, sporo się wspinali, mieli też za sobą przygody z autostopem... Coraz trudniej było im ze sobą wytrzymać i pewnego razu nagle zaczęli się kłócić. Padły wyzwiska, pojawiły się groźby, a my w osłupieniu zastanawialiśmy się, o co właściwie poszło.

Okazało się, że Krowa z Długim pożarli się na noże o to, czy... parkę szynszyli można trzymać w jednej klatce. Przerwali karzemną awanturę, dopiero gdy zobaczyli, jak tarzamy się ze śmiechu.

Szynszyle zostały z nami na dłużej. Podczas kolejnych wypraw, kiedy atmosfera robiła się już bardzo napięta, dla rozluźnienia przypominaliśmy kolegom pytanie, czy parkę szynszyli trzymać się razem, czy osobno. Nieraz przynosiło to rozejm.

Po kilku dniach w Chamonix przyszło nam wracać do Włoch. Do Francji zeszliliśmy przecież nielegalnie. Nie mieliśmy wizy, a włoską tylko jednokrotną, więc musieliśmy przekroczyć granicę niezauważeni. Był na to sposób, dobrze znany zebranym w obozowisku wspinaczom: jechało się autostopem tunelem pod Mont Blanc, a tuż przed granicą należało wysiąść z auta i czmychnąć pod ogrodzeniem.

Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, chociaż lekki dresczyk emocji towarzyszył nam za każdym razem. Ponieważ pogoda wciąż nie pozwalała się wspinać, wróciliśmy jeszcze raz do Chamonix przez zieloną granicę i spędziliśmy kilka dni wśród kolegów z Polski. Chodziło się wtedy przez płot na basen i do kina – byliśmy na *Emanuelle!*

Z Courmayeur pojechaliśmy do Wenecji.

Jurek Dudała musiał wracać do domu, a ja i Bogdan Szymański zapragnęliśmy kontaktu ze skałami Dolomitów. Góry wydawały się na wyciągnięcie ręki, szkoda byłoby nie skorzystać z tak kuszącej sposobności. Nie stać nas było na podróż żadnym środkiem komunikacji publicznej, dlatego postanowiliśmy złapać stopa. Mimo że zamiast na autostradzie stanęliśmy na jakiejś podrzędnej drodze, bez problemu dojechaliśmy do Werony, by spojrzeć na słynny balkon z *Romea i Julii*. Potem niestety zaczęły się schody.

Widok dwóch facetów z wielkimi worami ze sprzętem wspinaczkowym zniechęcał wielu kierowców. Wreszcie zlitowała się nad nami włoska parka. Wpakowali nas do niewielkiego fiata 500, chociaż wieźli spory bagaż. Podziękowaliśmy za podwózkę. Było już ciemno, poszliśmy więc zdrzemnąć się na plażę. Rano obudził mnie deszcz. Zerwałem się na równe nogi i stwierdziłem, że jesteśmy na prywatnym terenie. Tuż obok stał czyjś dom, a na nasze głowy nie kapąła deszczówka, tylko... woda z podlewanych na balkonie kwiatków.

Gospodyni zareagowała na widok dwóch niespodziewanych gości wyjątkowo sympatycznie: poczęstowała nas pyszną włoską kawą. Kłaniając się nisko, opuściliśmy plażę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Dwa dni spaliśmy po rowach, kluczyliśmy, błakaliśmy się po Italii, łapaliśmy stopa raz w jedną, raz w drugą stronę, ani trochę nie przybliżając się do Dolomitów. W końcu daliśmy za wygraną i postanowiliśmy wracać. Najwyraźniej tamtego lata nie były nam pisane.

WENECJA W SAMO POŁUDNIE

Umówiliśmy się z Zosią i Krzysiem, że spotkamy się konkretnego dnia w Wenecji o dwunastej na placu Świętego Marka. Nie było wtedy telefonów komórkowych ani żadnego sposobu, by

poinformować się nawzajem, gdyby z tych planów wyszły nici. Ustaliliśmy tylko, że przyjadę do Wenecji z gór, a oni – byli akurat na wyjeździe klubowym w Jugosławii – dotrą na miejsce autostopem przez Triest. Chociaż z perspektywy czasu wygląda to na połączenie romantyzmu z szaleństwem, udało się. Umówionego dnia o dwunastej padliśmy sobie w ramiona w sercu Wenecji.

Nie mieliśmy pieniędzy, a sporą część szczupłego budżetu pochłonęła wspinaczka. W Chamonix kupiłem sobie młotek lodowy Simonda, trzeba też było zapłacić za kemping w dolinie Val Veny. Trochę grosza pochłonęły również zapasy włoskiego wina. Pamiętam, że było to chianti sprzedawane w charakterystycznych koszykach.

Zostały nam drobne na czarną godzinę i na powrót do Polski. Biorąc pod uwagę ceny na Zachodzie i realia PRL-u, prawie wszystko woziło się z kraju: konserwy, słynne enerdowskie juwle, czyli maszynki benzynowe do gotowania, makarony... Co się dało zapakowaliśmy do toreb jeszcze w Katowicach. Niektórzy koledzy do Chamonix woźili nawet kartofle, byle było co jeść. Człowiek myślał wtedy jakoś inaczej – liczyły się góry, wspinaczka i dobre towarzystwo. Nie mogliśmy sobie pozwolić na hotel czy miejsce na kempingu, więc spaliśmy na ulicy. Koczujących turystów, takich jak my, było więcej. Spaliśmy też na dworcu w Mestre.

Patrolujący rejon dworca policjanci byli dla nas łaskawi. Przychodzili rano, szturchali w nogi całe towarzystwo i kazali się zbierać. Żadnych mandatów czy gróźb. Krzys wzbudził niemałą sensację, pokazywali go sobie palcami i mówili: *bambino, bambino!* Noce były stosunkowo ciepłe, nie padał deszcz. *Bambino* Majer spał jak suseł w mojej kurtce puchowej – nogi miał w rękawach, reszta służyła za śpiwór.

Chcieliśmy zwiedzić coś więcej niż tylko Wenecję, a ponieważ przechowalnia bagażu kosztowała, wór ze sprzętem wspinaczkowym

zostawiłem w zacisznym kącie dworca. Dzisiaj coś takiego byłoby nie do pomyślenia, natychmiast wpadliby antyterrorysty i usunęli podejrzany pakunek.

Lżejsi o sporo kilogramów pojechaliśmy autostopem do Florencji. Największe wrażenie zrobiły na nas Palazzo Vecchio i rzeźby na Piazza della Signoria. Po całodniowym zwiedzaniu trafiliśmy do niewielkiego parku. Zapadał zmrok, uznaliśmy, że to dobre miejsce na nocleg. Pośrodku parku był klomb, więc rozłożyliśmy na podwyższeniu śpiwory i umościliśmy sobie gniazdko do spania. W nocy obudziły nas głosy ludzi i światła samochodów. Okazało się, że to punkt schadzek prostytutek i ich klientów. Praca szła pełną parą. Zostaliśmy do rana, a kolejną noc spędziliśmy na parkingu dla tirów. Mieliśmy doskonałe miejsce, bo kierowcy pozwolili nam się przespać na pace pustej ciężarówki.

Dwa dni później wróciliśmy do Wenecji. Wór ze sprzętem stał nietknięty tam, gdzie go zostawiłem. Autostopem dostaliśmy się do Triestu, a potem do Zagrzebia, skąd mieliśmy wykupione bilety kolejowe do Polski.

Koniec fragmentu

Zapraszamy na
www.labotiga.pl lub www.sqnstore.pl

SQNSTORE.PL labotiga.PL



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

